

MINISZEK

Andrzej Horubała

Tak, trafnie pan rozpoznał: jestem księdzem.
Że co, że ten pietyzm, z jakim sobie
przyrzadzam herbatę, przypomina
liturgiczne gesty?

PKP Intercity serwuje Państwu bezpłatny
poczęstunek – kawa, herbata, woda – i
jesteśmy zdemaskowani.

No może: lata posługi robią swoje.

Ministrant podchodzi i trzeba z ampułek
nalać wina i dodać wody odrobinę.

Wymieszanie natury boskiej z ludzką.

Misterium sporządzania mistycznego
koktajlu.

A więc zdradzają mnie gesty. Bo chyba na
twarzy to już mniej księżowski jestem?

No dobrze, jestem księdzem. Zakonnikiem
nawet. Ale na wygnaniu, czy też w czyśćcu.
Purgatorium.

Teraz pełno nas w pociągach, autobusach:
zbiegli księża, złamani zakonnicy,
wstrząśnięci, pierzchamy byle dalej, na
północ, południe...

Wiem, każdy przekonany o swej
wyjątkowości i niewinności.

Proszę się nie obawiać: nie pedofilskie afery,
żaden seks, ani też żadne finansowe
matactwa, nie, nie, nie to wygania mnie poza
mury klasztoru.

Słucham? Nie, nie zwątpienie kazało mi
opuścić celę.

Nawet przeciwnie: sprawiła to uzyskana
pewność. Pewność, że jest Bóg. Jest Bóg, z
taką oczywistością jak to, że siedem plus trzy
to dziesięć. Z taką.

To ze świętego Augustyna. Ta arytmetyka.

Kojarzy pan?!

Naprawdę?

Niesamowite. I jak tu nie wierzyć w
przeznaczenie. Spotkać w przedziale
człowieka, który zna świętego Augustyna na
tyle, by rozpoznać w tym matematycznym
działaniu jego westchnienia do Boga!

Spotkanie jak Rogożyna z Myszkinem w
wagonie trzeciej klasy kolei

warszawsko-petersburskiej! Tylko kto z nas jest kim, prawda?...

Oj, przepraszam, tak popisuję się, gadam, bo namilczałem się ostatnio.

Siedem plus trzy to dziesięć – taką pewność chciał mieć nasz święty, ale przecież jej nie zyskał, pan o tym doskonale wie. Gdy się wczyta w jego „Wyznania”, to widać, że wszystko tam tkane z takich znaków niewyraźnych: ze wzruszenia rozmową z przyjaciółmi, z zasłyszanej zza muru dziecięcej wyliczanki tolle lege tolle lege, z księgi otwartej na chybił trafił, z błogiej rozmowy z matką, gdy wsparci o okno patrzyli na ogród. A reszta to spekulacje, kombinacje. No więc nie dostał nasz starożytny przyjaciel takiego dowodu, o jaki się modlił.

A jednak to niesamowite, że zna pan świętego Augustyna!

No więc... Tak: byłem znanym księdzem, nawet trochę – taki mamy zakon – celebrytą, ścigamy się w tym, rywalizujemy. Byłem więc i ja wziętym kaznodzieją, potrafiącym wprawić w podziw całe parafie. Najeździłem się po Polsce, pociągi to dla mnie nic nadzwyczajnego: pociągi, czasem nawet samoloty, byle zdążyć na czas, bo lud czekał. Ale wolałem koleje, można było sobie odpocząć, poczytać.

Tylko teraz to już nawet czytać mi się nie chce. Odrzuca mnie, nudzi. Ale pan, widzę, też bez książki. Naczytaliśmy się już obaj i może starczy.

Gdy przybywałem na rekolekcje wielkopostne, to naprawdę kościoły pękały w szwach. Na plakatach moje nazwisko, jakiś efektowny tytuł... Że coś pan kojarzy? Że jakoś twarz znajoma? Mniejsza, to naprawdę nie ma znaczenia. Mnie tamtego już nie ma. Ja tamtego już w sobie nie wzbudzę.

Nie napiszę już kolejnego błyskotliwego artykułu broniącego zasad naszej wiary, nie będę z maestrią obnażał teologicznych błędów w pismach moich rywali. Mogą odetchnąć z ulgą. Ja – jak to mówią młodzi – wyczepiam. Ja – pas.

Przez parę miesięcy, więcej nawet, myślałem, że jakoś wytrzymam, że dam radę: bracia szanowali moje milczenie, solidaryzowali się z moim dramatem. Mogłem sobie cicho wzdychać, celebrować swój stan, podczytywać poezję: Że nie mam już nadziei bym powrócił. Że nie mam już nadziei. Że nie mam już nadziei wrócić... Prawda? Takie kawałki. Ktoś by tam za plecami złośliwie się zaśmiał, zachichotał, ale przecież mogłem ciągnąć jako złamany nieszczęściem mnich, mogłem z tajemniczym, gorzkim nieco uśmiechem patrzeć, jak niczym piasek w klepsydrze przesypują się kolejne święta, jak zmieniają

się kolory liturgicznych szat, jak coraz to nowi kandydaci przychodzą do nowicjatu, jak odmładza się wciąż nasza wyborna schola. Ile jeszcze przyszłoby mi tak żyć? Pewnie ze dwadzieścia, trzydzieści lat. Nasz klasztor nie jest taki zły, siostrzyczki dobrze karmią, nie złapałem reumatyzmu, serce równomiernie pompuje krew, czuję się dość dobrze, nawet świetnie, o ileż lepiej od rówieśników cierpiących na bóle głowy, powykrzywianych, narzekających na łamanie w kościach.

Patrzę czasem na nich i odczuwam grzeszną satysfakcję, że trzymam się całkiem dobrze... Straszne, prawda? Niezmierzone są we mnie zasoby Schadenfreude.

No, dałbym radę. Strzygłbym starannie tę bródkę i wąsy, przecierał swoje dyskretnie eleganckie okulary bez oprawek i ciągnął jakoś ze sławą dawnego błyskotliwego wykładowcy, przygotowującego młodych do posługi. Ciągnąłbym, ktoś odnalazłby którąś z moich dawnych książek, natknął się na

artykuł lub zapis rekolekcji, pochwalił. Byłem dobry w tym. Niektórzy mówią, że najlepszy w kraju.

Nieważne. Było, minęło.

Kleciłem te homilie, pisywałem mądre artykuły do naszego diecezjalnego miesięcznika, czasem dałem coś do tygodnika, robiłem naprawdę niezgorszą robotę. Pokazywałem, że można być inteligentnym, czytany i wierzyć. Że wszystko da się złożyć w całość, że można w XXI wieku wyznawać Boga i uczestniczyć w świecie. Z ładną fotką na naszej internetowej stronie: taki uduchowiony, a jednocześnie z błyskiem inteligencji w oku. Łączący ogień i wodę. Głębką duchowość i żywą inteligencję.

Czy to takie złe?

Że trochę trzeba było naginać sprawy, że pewnych rzeczy się nie mówiło? Nie bądźmy tacy skrupulatni. Wszyscy naginamy, ale

właśnie tak trzeba: przykrawać świat do ideału, przymuszać się, dopychać.

Nie wiem, kim pan jest z zawodu, no ale przecież, na ile procent ma pan przekonanie do tego, co robi? Że przyczynia się do budowy ładu tego świata? Siedemdziesiąt? No to już dużo. To ja byłem przekonany na jakieś dziewięćdziesiąt pięć. Prawie sto.

No ale zostałem wybrany. Albo może sam to wymogłem? Wymusiłem?

Dobrze, przepraszam, wiem, że to niejasne, to może opowiem od początku.

Od młodości szukałem Boga i chciałem być Mu wierny, i składając śluby, nie miałem wątpliwości: to jest moja droga.

Dobra, brzmi to jak jakieś zapiski świętego naiwnego, ale naprawdę tak było. Moi znajomi i przyjaciele patrzyli na moją decyzję z uznaniem: oto wybierałem najlepszą część, oto pokazywałem, że można życie swoje poświęcić do końca. Pan trochę

młodszy, widzę, ale musi pan pamiętać tamte lata: Kościół w rozkwicie, jaśniejący chwałą, splendorem. Ale też sensowny. To był wspaniały czas!

Tradycja naszego zakonu, staranny rytuał był jak oprawa drogocennego klejnotu. Można było zatopić się w śpiewie, w modlitwie, zatracić... I przecież wszedłem w to całym sobą.

Ale im głębiej wchodziłem, tym silniejsze było marzenie dotarcia do jakiegoś rdzenia, jądra. Im bardziej olśniewające zdawały mi się rytuały, tym mocniejsze pragnienie, by oczyścić to wszystko z choćby najpiękniejszej, ale jednak doczesnej domieszki, by stanąć twarzą w twarz. Chciałem zedrzeć wszystkie zasłony, odrzucić te kulturowe sztuczki, wszystkie te protezy, no bo one owszem, prowadziły do czegoś, co można nazwać od biedy doświadczeniem religijnym, ale czym były w istocie? Wytwarzaniem sacrum.

Przekonywaniem samego siebie, że On jest.
A ja chciałem uzyskać pewność. Właśnie taką
matematyczną. Bez dodatku liturgii,
nastroju, wzruszenia. Niezależną od woli.
Chłodną i precyzyjną. Nie ze spekulacji
płynącą, tylko z usłyszenia mocnego i
twardego: Ja Jestem!

Nie interesowały mnie dowody z piękna
przyrody, czy ze sztuki. Co mnie obchodzi, że
„zatoka lasu zstępuje w rytmie górskich
potoków...”, że papież się wzrusza? Ja też się
wzruszałem, chodziłem po górach, trzymając
rózaniec w dłoniach splecionych na plecach.
Ale mnie chodziło o pewność! Przeglądałem
papieskie zapiski – znaku takiej pewności,
jakiej pragnąłem, nie znalazłem.

Pan wie, że to wszystko dęte, z tymi
doświadczeniami mistycznymi naszego
papy? Ano właśnie, widzę, że pan też
oczytany. Niczego, niczego w jego zapiskach
nie ma. Kapciowy papieża złamał testament,
nie zniszczył jego notatek, dał do druku i

stało się jawne, że tam – pusto! Wszystko takie... proboszczowe, łagodne.

Kartkowałem „Dzienniczek” siostry Faustyny. No ale ona też ewidentnie prowadzona była przez rytuał, modlitwy, lektury, czynione nie bez wysiłku przez tę prawie analfaberkę, przez święte obrazki, rzeźby, jakie oglądała. Zna pan sprawę, nie wzgardził pan zapiskami tej prostej dziewczyny? Oj, widzę, że pan też poszukiwał! No to pan wie, że jak jej się tam objawiają święci, to albo pod postacią rzeźby z jakiejś kaplicy, albo oleodruku. Jest msza, przeistoczenie, a ona widzi na ołtarzu Dzieciątko Jezus, bo to akurat Boże Narodzenie i pewnie obrazków się naoglądała. To ja tego nie chciałem. Nawet te formułki modlitw podyktowane jej z góry to pochodzą z papieskich dokumentów. Nie wiedział pan? Przecież to „ofiaruję Tobie Ciało i Krew, duszę i Bóstwo” to z watykańskich papierów. No i to jest w porządku, niech to współgra, dlaczego

miałoby nie współgrać, ale ja pragnąłem pewności oczyszczonej, odartej z ludzkiej woli, szukałem czegoś nawet czystsze niż mistyczne doświadczenie...

No przepraszam, płaczę się, idę na skróty, ale chcę zdążyć, droga przed nami nie za długa... No więc mnie nie chodziło o takie wyprodukowanie w sobie Boga; obaj wiemy, że umysł wyposzczony, udręczony, ze skumulowaną uwagą jest w stanie to zrobić. Przecież w Wielkim Tygodniu, po Wielkim Poście, wygłodniały, wymęczony niedospaniem, miałem jakieś wizje, umiałem sobie wyobrażać Mękę Pana tak wyraziście, że imaginacja mieszała mi się z realnością, że prawie przekonany byłem o tym, że oto doznaję objawienia... to wszystko było mało, za mało.

Poza tym, niech się pan nie oburza, sam widziałem, jak moje piękne słowa rodziły Boga w innych, jak robiło się nagle mistycznie i wzniośle, jak byłem w stanie ze

słów stworzyć Jego, przywołać Go,
przekonać, że oto nadszedł i jest między
nami. I może naprawdę przychodził.
Ale ja chciałem uzyskać pewność
matematyczną. Oczyszczony z gry wyobraźni
dowód. Na zasadzie tak – tak, nie – nie.
Dowód na to, że wybrałem słusznie.
Że co? Że doświadczenie mistyczne? No nie
wiem, ja chciałem czegoś, co nie będzie
subiektywne. No a przecież święta Teresa z
Avilla i jej zjednoczenie z Bogiem – to po
prostu jest tak niepokojąco seksualne,
podobnie zresztą jak Bernini, no nie, temu
nie można ufać. Toć to czysta sublimacja.
Że noc Pascala? Ha! Widzę, że chodziliśmy
podobnymi ścieżkami. Ale cóż Błażej i jego
pamiętka? Zgoda, obaj możemy sobie
wyrecytować, trochę mrowienia na plecach
to wznieci: „Ogień. Bóg Abrahama, Bóg
Izaaka, Bóg Jakuba, a nie filozofów i
uczonych”. Ale czy nie dlatego zaszył to sobie
w płaszczu, bo wcale nie był pewny i musiał

się utwierdzać tym talizmanem, bo bał się, że to wszystko wietrzeje, pokrywa się kurzem codzienności.

Wstępując do klasztoru, porzucałem moją na wpół szaloną siostrę, zostawiałem jej matkę, naszą matkę, ale nie uciekałem. Naprawdę! Tak mogliby powiedzieć ci, którzy nie wierzą. Nie uciekałem, tylko szedłem ku większemu dobru. Modliłem się: idę ku Tobie, Panie, ale błagam o znak, o potwierdzenie, że to nie była ucieczka, imaginacja, lecz powołanie. Daj znak, bym przekonał się, że kobiety, których nie zaspokoję, lubieżne uśmiechy, których nie odwzajemnię, łona, których nie zapłodnię, że odrzucenie tego wszystkiego naprawdę miało sens!

„Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.

Oj, jaki naiwny byłem, buntowałem się, nie wiedząc, jakim błogosławieństwem jest właśnie – nie widzieć!

Błogosławieni, którzy nie widzieli!
Pragnąłem dowodu, żądałem, ale nie takiego, że się powzruszam i sobie coś wyimaginuję. Żądałem dowodu. Pewności. Z błyszczącymi oczyma zwracałem się do starszych wspólnoty, pytając o ich doświadczenie Boga. Ale oni serwowali mi papkę, jaką sam byłem w stanie sobie stworzyć, częstowali mnie opowieściami, świadczącymi raczej o ich tkliwości i podatności na wzruszenia, niż o tym, że Pan im się ukazał.

Dyktowałem warunki? Trochę tak.
Nie chciałem, by zjawił się pod postacią znaną z obrazów, by zstąpił z wielkiego fresku „Jezu, ufam Tobie” i boso kroczył ku mnie. Takie widzenia można w sobie wzbudzać i nie są to naprawdę rzeczy trudne.

Nie chciałem, by kojarzył się z liturgią, z czytaniem, by wyrastał z pobożności. O nie.

Słyszałem: jest! Przyszedł, objawił się komuś. Biegłem z nadzieją i co znajdowałem? Znów sentymentalne opowieści albo twory zrodzone z wyobraźni. Nasz klasztorny mistyk, który zmarł w tak zwanej opinii świętości, i jego zachwalanie, że można doświadczyć realnego przeistoczenia i przyjmując Ciało i Krew Chrystusa naprawdę poczuć w ustach w miejsce chleba i wina smak surowego mięsa. Jego zachęty, by uruchomić wyobraźnię! O nie, nie o to mi szło. Tym bardziej, że miałem w pamięci hymn Akwinaty, że mylą się wzrok i smak! Ze złością odrzucałem takie koncepty. Przyjechało do nas tych dwóch klaunów z Brazylii, rozradowanych braciszków, pracujących w slumsach, co to kładli pół kościoła, chodząc z monstrancją i nakładając na ludzi dłonie. Też biegłem za nimi, chociaż lata nauczyły mnie, by podchodzić do tego sceptycznie.

Pan też te sprawy badał? No tak, stąd ten uśmiech. To widział pan to, co ja: pokładali się ludzie od dotknięcia rąk tych rozchichotanych współbraci z Ameryki Południowej. Odpocznienie w Duchu. Ale przecież to niczego nie dowodzi! Oprócz tego, że można wmówić to i owo. Dotknął mnie jeden z nich, ten niższy, i nic. Że miałem blokady? Może i miałem, bo nie chciałem takiego dowodu na istnienie Boga, bo i tak bym go nie przyjął.

Marzyłem o objawieniu się rdzenia, sedna, wstrząśnienia takiego, jak gdy dostaje się cios w ogonową kość i nagle czuje się prąd idący przez cały kręgosłup.

Nie wiedziałem, czego żądam.

Mniszka przysłano do naszego klasztoru, gdy jego choroba była już mocno zaawansowana i mógł go ocalić tylko cud. Cud i intensywne leczenie dostępne tylko w Instytucie Onkologii. Oczywiście, słyszałem już co nieco

wcześniej o nim: w końcu naszych klasztorów nie jest znów tak wiele, więc coś tam obijało mi się o uszy o tym egzaltowanym, urodziwym młodzieńcu.

Dziwny to był chłopiec: mizernej kompleksji, delikatny, kędzierzawy – chemioterapia nie zniszczyła jego fryzury, spod której wyzierały błyszczące, ciemne, intensywnie niebieskie, granatowe prawie oczy. Piękny na sposób prawie dziewczęcy. Mniszek, ale po święceniach, jak najbardziej, więc i kapłan. Nazwałem go sobie najpierw w duchu: kominiarczyk, chyba przypominał ilustrację do którejś z bajek z dzieciństwa. Kiczowaty, piękny młodzieniec.

O urodzie wręcz onieśmielającej.

Gdy pierwszy raz znalazłem się z nim sam na sam w rozmównicy, poczułem wielkie zmieszanie. On komplementował mnie za jakiś artykuł na temat misterium Wielkiego Piątku, a ja, osobliwie onieśmielony, bałem się podnieść na niego oczy! Przeor skierował

mnie, bym zaproponował mniskowi jakieś lektury stosowne do jego rozwoju duchowego, a on patrzył, patrzył i zamyślał swoimi rękami długimi i gęstymi niczym jakieś firany, patrzył oczyma ciemnymi, intensywnie niebieskimi, prawie granatowymi, a mnie nagle było do płaczu i śmiechu jednocześnie. Tak, bo on był tak piękny, jak z kreskówki, że aż śmieszny w tym przerysowaniu, w tej urodzie nieziemskiej! Czułem elektryczność, jaka między nami przebiega, a może to impulsy biegły tylko ode mnie do niego w odpowiedzi na ten zew piękności, każący łkać i śmiać się jednocześnie. Nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło, niech pan mi uwierzy, naprawdę, nie mam takich skłonności, zresztą, nie chodziło tu o erotyzm, ale jakąś taką emanację piękna, skumulowanego, że aż nierealnego, zdawałoby się nie do urzeczywistnienia tu, na Ziemi. No i to jego zachowanie: jakby nieświadom był, że

przybywa z innego wymiaru, z innej galaktyki!

Był kwiatem rzeczywiście nieco egzotycznym: owocem miłości Francuzki do Polaka, solidarnościowego emigranta, który w Paryżu zawrócił w głowie studentce marzącej o zmianie świata. Polak, Słowianin, buntownik, a takich paryżanie kochają, był dla niej przedmiotem bezbrzeżnej adoracji. Dała więc mu się zapłodnić...

No a potem emocje opadły, oboje przeżyli rozczarowanie samymi sobą, no i mały Karolek został na świecie zupełnie sam. Porzucony przez matkę, która chciała jak najszybciej wymazać ten epizod ze swej pamięci, porzucony przez ojca, który coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że to nie było zauroczenie Francuzką, lecz tą całą otoczką: klimatem, dobrobytem, elegancją, zachodnim stylem, Francją. Pięknymi ubraniami, higieną, stołową zastawą,

wzornictwem. Karolek nie kojarzył się więc obojgu najlepiej, ot, owoc chwilowego nastroju, wspominanego ze wstydem uniesienia, złudzeń. Więc po kilkuletnich perypetiach, podrzucaniu go z domu do domu, przechowywania przez różne ciotki i znajomych, wreszcie, gdy przyszedł słynny rok 89, wrócił do Polski.

Mówiąc lepiej po francusku niż po polsku, zdumiony przepoczwarzającym się krajem, który wychodząc z komuny przeżywał bazarowy rozkwit, stał się mały Karol, noszący imię Papieża-Polaka, młodzieńcem dziwnym wielce. Uderzająca uroda przysparzała mu wciąż nowych adoraterek, lecz on tą swoją łamaną polszczyzną, do której wrzucał od czasu do czasu francuskie zwroty, prezentował siebie jako bardziej katolickiego i bardziej polskiego niż całe otoczenie.

Jakże to musiało być irytujące w liceum! Mogę sobie wyobrazić, bo gdy posłuchałem

go teraz, posłuchałem, jak dziwacznie mówi o Bogu, jakby tłumaczył coś z francuskich książek, jakby przekładał na nasze, posługując się gotowymi szablonami, a w dodatku wierzył w każde słowo, opukiwał je, osłuchiwał. Gdy słyszałem, jak mówił „Zdrowaś Mario” z tym nieznośnym francuskim „r”, jak wypowiadał „łaskiś pełna” z tym „ś” jakimś miękkim, ludowym jakby, to aż mnie skręcało. Brzmiało to jak przedrzeźnianie nas, a jednocześnie wypowiedane było z takim przekonaniem, jakby podawał do wiary każdy wyraz Pozdrowienia Anielskiego, jakby przekładając z łaciny, z francuskiego, za każdym razem delektował się tymi słowami, wsłuchiwał się w nie, zachwycał.

Wyobrażam sobie, jak drażnić musiał swoich rówieśników ze szkoły, gdy nagle – a przecież wtedy musiał mówić po polsku jeszcze bardziej niezdarnie – wyskakiwał im z

deklaracjami wiary, wiary głębokiej, ale
dziecięcej jednocześnie.

Przybywał z kolorowego Zachodu:
hedonistycznego, zanurzonego w
konsumpcji, żrącego, lecz wciąż
nienażartego, a przynosił przekaz dziwacznie
tradycyjny, podany w dodatku w takiej
nieznośnie powyginanej formie.

No i patrzył teraz na mnie tymi swoimi
wielkimi ślepiami jak z jakiegoś barokowego
malarstwa, a może z japońskich kreskówek:
ciemnowłosa, ciemnooki, karykaturalnie aż
piękny z wydelikacjonymi przez chorobę
rysami.

Był kwiatem.

O właśnie: kiedyś w malutkim kościółku,
gdzie udzielałem ślubu memu kuzynowi,
ołtarz obłożono tyloma liliami, że zapach ich
był tak zmysłowy, tak erotyczny, że aż kręciło
się od tego w głowie i człowiek czuł
mrowienie w podbrzuszu. I msza ślubna
zmałała za sprawą tych pyszniących się

kwiatów i rozbuchania zmysłów, do rozmiarów nudnawego wstępu do jakichś godowych rytuałów, które miały nastąpić za parę godzin... Oj, dobra tam, przepraszam, niech się pan nie śmieje, takie tam księżowskie wspomnienia. Nie miałem co rywalizować homilią z tymi rozbuchanymi liliami. Całe nabożeństwo na nic!...

Fama o umierającym mniszku przywędrowała za nim i na mszach, tych środowych, odprawianych przez niego wieczorną porą w bocznej kaplicy, zaczęło się pojawiać coraz więcej młodych ludzi. Wycieńczony chemioterapią z wysiłkiem sprawował liturgię, z trudem unosił kielich, dokonywał ablucji... Ale przecież przekaz, jaki płynął z tych nabożeństw był niesłychany: oto Panie, cierpię, ale hołd Ci oddaję, oto niszczeję, ale będę śpiewał hymn uwielbienia.

Dziwne było to wszystko.

Przeor, zapewne wskutek braku zaufania do formacji, jaką dawał nowicjat w konkurencyjnej prowincji, prosił mnie, bym sprawował dyskretną opiekę teologiczną nad nim i sprawdzał, czy czasem w swych homiliach nie odchodzi od ortodoksji. Ale słuchałem i w zasadzie poza egzaltacją widoczną w oczach panienek, które oblegały jego msze, niczego niepokojącego nie zauważałem.

Dziwne to było wszystko!

Mniszek był tak cudownie piękny, że rzeczywiście chciało się zadać pytanie, czemu Panie chcesz zniszczyć tak piękny kwiat? Czemu miazdżysz go cierpieniem? Czemu jedno z najwspanialszych Twych dzieł chcesz zgnieść i unicestwić?

Jego ciemne kręcone włosy nad iskrzącymi się błękitnymi, granatowymi prawie oczyma, blada twarz i pełne usta – to wszystko miało już wkrótce zgnieć i obrócić się, nie, nie w proch, myślałem, tylko właśnie odrażającą

galarete, siną napuchniętą kukłę. To piękno, które sam Panie stworzyłeś, chcesz ze swego niezrozumiałego kaprysu poddać ohydzie zniszczenia? Czemu? Jaka z tego ma płynąć prawda? Po co Ci ta ofiara? Pytałem, zanosząc razem z młodymi modlitwy za mniszka.

No bo w naturalny sposób włączyłem się w te modlitwy z mniszkiem, za mniszka, a potem, gdy już nie starczało mu sił, koncelebrowałem z nim środowe msze. Pomagałem unieść kielich, prowadziłem drżące ręce, przewracałem strony mszału. Stałem za ołtarzem – starzejący się, łysawy, przebrzmiały, i patrząc w roziskrzane oczy młodych dziewcząt i chłopców, zadawałem sobie pytanie, w co oni wierzą, co oni w tym wszystkim widzą.

A oni modlili się o cud! Tak – o cud uzdrowienia mniszka! O to, by – choć rokowania lekarzy były jak najgorsze i nie pozostawiały wątpliwości, co do bliskiego

końca – by Pan cofnął wyrok. I przecież mniszek opowiadał o tym. Deklarował w homiliach i modlitwach improwizowanych podczas mszy i w czasie wystawienia Najświętszego Sakramentu, że cały jest w rękach Pana, że każdy z nas jest w rękach Pana i to od Pana zależy, co z nami uczyni. I rzeczywiście, zaciskając prawie do bólu dłonie splatane do modlitwy, te wszystkie panienki i młodzieńcy błagali o cud. O jawną ingerencję Boga.

Och, gdyby żarliwość modlitw przekładała się na ich skuteczność! Żar, z jakim modlono się o mniszka, zdołałby stopić kamienne serce. Do dziś mam przed oczyma pochylone klęczące sylwetki tych dziewczyn, które po mszy, gdy wycieńczony mniszek odchodził do zakrystii długim ceglanym korytarzem, zostawały w kaplicy i patrząc na prosty metalowy krzyż, z napiętymi twarzami błagały Pana o zmiłowanie, o cofnięcie wyroku.

Stopiłyby kamienne serce, ale nie serce
Pana!

Nie wszyscy dzielali zachwyty mniszkiem.
Ojciec Alojz był wyraźnie wściekły na kult,
jaki rozwijał się wokół chorego. No i co z
tego, że umiera? Przecież wszyscy
umieramy! Czy z faktu jego urody coś
wynika? – sapiał ten
stutrydziestokilogramowy mnich i, nie
dostrzegając w naszych oczach aprobaty,
zapluwając się prawie, ciągnął – to niby co?
Brzydacy mogą umrzeć, a ten urodziwy
młodzieniec nie? I trząsł tym swoim
kałdunem wielkim, ledwie związanym
sznurem. Jak wściekły byłem na Alojza.
Owszem, ceniłem go dawniej za
zachowywanie zimnej głowy i ostre
sprzeciwianie się egzaltacji niektórych
współbraci: wspaniale gasił histerię i
sprzeczne z ortodoksją i zdrowym

rozsądkiem uniesienia, ale tu jednak przesadzał z oschłością.

Chciałem cudu, chciałem, by Pan cofnął swój wyrok i ocalił chłopca. Ocalił chłopca i dał znak!

Ale cud nie przychodził.

Mniszek wracał z kolejnych operacji, inwazyjnych badań, popłakiwał z bólu, oblepiony plastrami z morfiną, opowiadał o męczarniach, jakim podlegał na operacyjnych stołach. Robił to na swój mniszkowy sposób. Mówił, jak czuł jedność z krzyżowanym Chrystusem, jak sądził, że to już koniec, że nie wytrzyma z bólu, ale przychodziły następne fale cierpienia, a on zdawał sobie sprawę, że to via crucis, niekończąca się, pełna stacji bólu. Jak leżał nagi i ogołocoony, i myślał o z szat obnażeniu, jak wwiercano się w niego, a on czuł się jakby włócznia wbijała się w jego ciało.

Ale przecież nie chciał umierać. Jak on kochał życie! Był kwiatem cudownym nie tylko zewnętrźnie, ale i duchowo. Wrażliwość na piękno – muzyki, przyrody, rzeczywiście nie udawana, wyostrzona świadomością zbliżającego się końca, powodowała, że przeżywał rzeczywistość o wiele bardziej intensywnie niż my i faktycznie raz po raz zadziwiał ekstatycznym prawie zachwytem dla rzeczy, które zwykliśmy mijać z obojętnością. A jednak, gdy on powiedział: „patrz”, to spełniało się i oświeślał jakiś wycinek rzeczywistości, fragment pieśni, czasem jakiś zwrot w modlitwie. Na wszystko to patrzył roziskrzonymi oczyma skazańca, ale takiego, który nie czuje złości na kata.

Marniał w oczach, lecz nie przestawał zaszczycać świata opowieściami, jak wspaniały jest Pan! Z tym, że jego środowce msze spowszedniały jakoś, coraz mniej młodych przychodziło na nie, aż wreszcie

została gromadka wpatrzonych w niego dziewczątek, co to w tym delikatnym młodzieńcu odnajdywała swoją baśń o subtelnych, eterycznych mężczyznach, z którymi można nawiązać porozumienie duchowe. W końcu przeor, widząc nikłe zainteresowanie naszym mniszkiem i jego mszami, ale odpowiadając także na głosy krytyków, których przybywało, wygasił sprawę: najpierw pozwalając odprawiać liturgię na zmianę z ojcem Robertem, potem w ogóle odbierając mniszkowi stałe godziny postługi.

Zresztą, w związku z postępującym osłabieniem, coraz gorzej szło mu odprawianie mszy, została mu więc raczej koncelebra.

Gdy odprawiał mszę, a pod koniec nie miał nawet siły podnieść kielicha, to uśmiechał się z zakłopotaniem, gdy coś mu nie szło, a jednocześnie dodawał ten swój wniebowzięty grymas, jakby przypominał

sobie o teatrze, jaki serwował, że niby współuczestniczy w męce Chrystusa.

Męczyło mnie to i złościło. Owszem, czasem wchodziłem w to, ale częściej traktowałem jako pocieszanie się w tej przegranej walce. Skoro nie ma cudu, o który tak się modliliśmy, to udawajmy, że cud dzieje się teraz, w czasie mszy? Słabe to było.

Panie – pytałem – czemu nie cofniesz wyroku? Czemu nie posłużysz się mniszkiem dla wzmocnienia naszej wiary? Jaką korzyść będziesz miał ze zniszczenia swego kwiatu? A skoro nie chcesz go ocalić, czemu nas zwodzisz i skłaniasz do modlitw? Po co łudzić się nadzieją i tracić godziny w kaplicy? Po co ciągnąć tę komedię?!

Skłaniałem często głowę, unikałem wzroku mniszka, bo bałem się, że wszystkie moje uczucia, wszystkie myśli mam wypisane na twarzy. A sam się ich bałem.

Chodziłem wściekły po krużgankach i odmawiałem różaniec. Bardziej chyba za

siebie, by Pan usunął z mego serca złość i
zwątpienie, niż za niego. No bo cóż tu mogło
pomóc? Widać, że rak to rak i nie poradzisz,
choćbyś najpiękniejszą liturgię sprawował.
Złościły mnie te jego dziękczynne modlitwy
składane po kolejnych operacjach.

I przecież kiedyś wieczorną porą,
przechodząc koło refektarza zobaczyłem
zapalone światło. To mniszek, który miał
pozwolenie na specjalną dietę, szykował
sobie jakąś potrawę. Ucieszył się na mój
widok, blado uśmiechnął i gestem ręki
zaprosił do środka. Na desce leżały plastry
łososia, które mniszek skrapiał ściskając
przekrojoną na pół cytrynę. Tak po prostu –
zgniatał połówkę owocu i pozwalał, by sok
ściekał po dłoni i przegubie na ryby. Z jakąż
rozzutnością to czynił, jakbyśmy
rzeczywiście żyli w południowych krajach i
cytrusy były tanie jak kartofle. Popatrzyłem
na niego z przyganą, a on uśmiechnął się i
odkładając wyciśniętą skórkę, oblizał

wnętrze dłoni i roześmiał się dziwnie.

Roześmiał się i powiedział:

– Widzisz, zdarzył się cud! Wymodliliśmy to. Ja tyle, tyle już żyję. Lekarze przepowiadali mi pół roku, a ja, chwała Panu, ciągnę już cztery lata! Cztery lata z wami.

– Z nami dwa – sprostowałem.

– No tak, z wami dwa, ale dzięki – ciągnął mniszek z iskrzącymi się oczyma – wielkie dzięki, wielkie!

– Merci – dodał, składając usta w dzióbek i uśmiechnął się przecież pamiętając, jak wytykałem mu jego francuskie naleciałości: akcent i wtrącane czasami zwroty. Zresztą on dość oryginalnie mówił po polsku, jakby na nowo odkrywał wyrazy: wydobywał je ze słownika i pokazywał światu. Oj, mówiłem już o tym, tak? To było niesamowite!

– Merci – powtórzył słodko, ale za chwilę poważniejąc, złamanym głosem powiedział:

– Wczoraj znowu miałem chwilę słabości. Bo ciężko będzie stąd odchodzić. I wiesz, gdy

rozmawiałem z moim tatą, zacząłem płakać.
A przecież nie trzeba, nie trzeba.
Popatrzyłem na połówkę wyciśniętej
nonszalancko cytryny, leżącej obok płatów
łososia jak na jakiejś martwej naturze sprzed
wieków, i poszedłem do siebie, zostawiając
mniszka z jego kolacją.

Więc to tak miało się skończyć?! Taki cud
miał się zdarzyć? Lekarze dobierają coraz
lepsze środki, ojciec mniszka też uruchomił
swoje wpływy. Dwoją się i troją medycy,
znajomi z liceum zrzucają na amerykańskie
specyfiki prawie że szmuglowane z
zagranicy, a mniszek o cudzie? Co to za cud?
To ma być upragniony dowód?
Zanotowałem w moim dzienniku. Wyraźnie,
jednoznacznie: „Przestać się modlić za
mniszka? Czemu nie!”. Tym moim wyraźnym,
kaligraficznym prawie pismem, z którego
byłem tak dumny.

Po cóż się modlić, skoro to, co mniszek ma za cud, jest zwykłym działaniem medycyny, wynikiem różnorodnych splotów okoliczności, zmiennych danych, reakcji chemicznych zachodzących w organizmie pod wpływem stosowanych leków. Czyż otaczanie tego religijną otoczką nie jest aby fałszowaniem rzeczywistości? Zostawmy to, co cesarskie Cezarowi, a to co boskie – Bogu. Zapisalem to moje „Czemu nie!” – i poczułem ulgę. Ekonomia duchowa przede wszystkim. Nie marnujmy energii tam, gdzie jej nie potrzeba.

I przecież potem, trzy dni potem, gdy wracałem z krótkiego wypadu do Gdańska, to już w metrze, dokładnie to pamiętam, była godzina 15:00, więc wtedy pomyślałem sobie z goryczą i szyderstwem: I co, Panie Boże, poniechałem modlitw, jakoś przestałem go wspierać, i nic! A to akurat powinno wszystko wygasnąć. Najwyższy czas. Trzeciego dnia wylazł z wielkiej ryby na

brzeg, trzeciego zmartwychwstał... A tu jakoś się nie wypełniło: nie modłę się, a mniszek żyje. A ku ku! Takie to cuda.

Jechałem metrem, ubrany po cywilnemu, wzdychając i śmiejąc się pod nosem – znów będę siedział z mniszkiem i słuchał jego pięknych słów o cudach-niewidach, ale przynajmniej już wyzwolony od tych złudzeń. Po prostu, po męsku go będę wspomagał, jak każdego chorego, żadnego tam nosiciela Bożej prawdy. Trzymaj się, stary. O, tak, z delikatnym poklepaniem po plecach, z umiarem.

I co, już domyślił się pan. Słaby suspens? Od razu pan wiedział? No co, mam tu odegrać panu scenkę, jak jadę sobie metrem, wsłuchując się w komunikaty o kolejnych stacjach wygłaszane przez lektora od dubbingu, jak odstawiam te swoje durne dylu dylu na badylu wobec Boga i słyszę piknięcie telefonu?

Jak mam niby opowiedzieć, co czułem, gdy przeczytałem esemes od furtiana: „Karolek nie żyje”.

„Karolek nie żyje” – rozumie pan, nie żadne tam, odszedł do Boga, zasnął w Panu, tylko: nie żyje! Nie żyje, nie ma go. Koniec!

Chce pan koniecznie wiedzieć, jak to jest?!

Tak, właśnie tak, jak sobie wymarzyłem: jakbym dostał cios w kość ogonową.

Muszę opowiadać? Ale ten wewnętrzny skowyt połączony ze śmiechem jest nie do opowiedzenia! Ten brak tchu, to nagłe osłabienie! Wyszedłem z metra, łzy napłynęły mi do oczu, coś chwyciło za gardło. Chciałem wyć, szarpać się, biec, ale jednocześnie byłem osadzony w miejscu. Wydawało mi się, że coś mnie obejmuje w pól i ściska.

A przy tym jakieś głupie myśli, durne wyobrażenia. Że oto mniszek wpychany w świetlisty tunel, broni się i mówi – czyż ta lekarka nie powiedziała o jego niesłychanej woli życia? – że nie chce odchodzić. I – co za

idiotyczna, skażona moja wyobraźnia –
powołuje się niczym w Milionerach, tak, w
tym teleturnieju – powołuje się na telefon do
przyjaciela. I szatan? Bóg? No, jeśli szatan, to
ten taki z księgi Hioba, przekomarzający się z
Panem, z uśmiechem mówi do konającego,
przestraszonego mniszka, przesuwającego
się w tunelu: no dobrze, możesz postawić na
przyjaciela. Jeśli się za ciebie modli,
zostaniesz jeszcze na ziemi!

Co za szaleństwo! Skąd te obrazy?! Dziwi się
pan? Ale tak właśnie było. Sam byłem
zdumiony: w takim momencie mieć głowę
zaśmieconą obrazami z telewizji!

Mniszek mógł właśnie też tak to postrzegać:
może w innych dekoracjach, w innym
sztafażu, ale mógł sądzić, że moje modlitwy
będą go trzymać tu. Że jestem gwarantem
jego trwania! Przecież dziękował mi za to,
przecież chciał, bym wiedział, że ten cud, cud
jego przedłużonego życia, jest moją zasługą!

Wierzył, że moje modlitwy go utrzymają. Jak Pan Bóg wyciąga grzeszników z przepaści na różańcu, tak mniszka będą unosiły moje modły.

No i co? Przestały unosić!

Telefon do przyjaciela? Dobra, sprawdzamy. Śmiech, buczenie z aparatury pokazującej, że wrong answer, wrong answer czy też... jak to leciało w tym programie prowadzonym przez gościa, co to reklamuje proszki do prania? – Zonk! O! Śmiech i – Zonk!

I oto dusza mniszka unosi się nad skrzywionym w ostatnim paroksyzmie bólu ciałem, opuszcza swą celę, pełną modlących się poruszonych braci, wznosi się ponad imponujący konstrukcyjnie dach naszej świątyni i szybuje nad światem, jeszcze trochę trwa, nim pożegna się z nim, leci mniszek ku mnie, do metra, zdziwiony, zaskoczony. Telefon do przyjaciela nie wypalił?...

Wyszedłem z podziemia, na dworze
zaczynała się wiosna i oszałamiające zapachy
i aromaty zwiastowały koniec zimy, z
martwej ziemi łodygi zwiastowały nowe
życie. A ja zamroczony, słańałem się na
nogach.

Panie, com ja uczynił?! Panie, coś Ty mi
uczynił?

Chciałem dowodu, pewności jak to, że
siedem i trzy daje dziesięć? No to dostałem.
Żadnej wymówki. Moje warunki zostały
spełnione. Chciałem dowodu na moc
modlitwy. Bardzo proszę! Chciałem to mieć,
oczyszczone z wszelkich spekulacji,
nierozmyte w lirycznym wielosłowniu, nie
będące interpretacją, tylko twardym
doświadczeniem? No to mam.

Czuć smak zdrady na końcu języka, a
jednocześnie mieć wreszcie pewność. Kto
zobaczy oblicze Boga, nie przeżyje. I mnie w
popiół obracasz, ukazując siebie.

Chciałem cofnąć to wszystko, to moje zaparcie się, jakoś wytłumaczyć, wmówić sobie, że to nie tak, że ja wcale nie chciałem, ale w torbie przewieszanej przez ramię, przypominającej chlebak z harcerskich czasów, był mój notes z twardym i jednoznacznym postanowieniem: koniec modlitw za mniszka... i przecież z matematyczną precyzją, gdy szyderczo odliczyłem trzy dni, zapiszczał sygnał w komórce zwiastujący straszliwy esemes. Nie da się niczego cofnąć, poszukiwaczu prawdy. Niczego wyinterpretować.

Panie, czy rzeczywiście tak musi być? Że musiałem zdradzić, by Cię poznać? Czy tak zawsze jest? Że tylko zdrajcy widzą Ciebie i zdobywają pewność? Że ci, którzy domagają się twardych dowodów, ci, którzy nie zadowolają się pięknymi słowami, którzy zapierają się takiej

prawdy, mogą ujrzeć Twój majestat. Twój majestat i swoją nędzę.

Szedłem do klasztoru. Wracałem. Tylko po co? Pomodlić się nad ciałem mniszka?

Przecież to jakaś komedia: on – oczyszczony, już wiedział. On – oczyszczony, wędrujący do Pana wśród anielskich chórów, przejrzał mnie. I cały ten teatr, który chciałem odprawiać nad jego zwłokami – na cóż on komu?

Ufny mniszek wskazał na mnie, przekonany, że zaraz wszystko się odmieni, że to takie proste, zaraz moja modlitwa go ocali... No i się trochę zdziwił, Zonk! Zonk! Zonk!

Współbrat zawiódł, niestety! Telefon do przyjaciela zmarnowany!

Szedłem, mijałem mur pokryty religijnym graffiti, znak, że nasz zakon tak cholernie nowoczesny jest.

Szedłem i czułem obawę, że na mej twarzy zaczyna rysować się jakiś grymas podłości.

Co to, co to się stało? Jak to czytać?... Panie Boże, Jezu – chciałem zwrócić się jak za dawnych lat, jak wtedy, gdy z różańcem w ręku biegałem po górach, gdy mogłem po kumpelsku, żartobliwie zwracać się do Ciebie, gdy wydawało mi się, że razem przejdziemy przez życie i nic nas nie rozłączy. Jezu, mówię. Ale co mam rzec? Że ufam Tobie? Skoro tak nawaliłem, skoro, no, nie ma żadnego tłumaczenia, żadnej ekskuzy!...

Nie rozumiałem, Panie, że ten cud się spełniał i że on może wyglądać tak banalnie jak życie śmiertelnie chorego człowieka! Ja tego nie rozumiałem! Ja chciałem więcej! Chciałem, by rany się zrosły, guzy wchłonęły, by wszystko się wyprostowało. Tego chciałem. I by komisje lekarskie przyjeżdżały i się dziwowały, a ja byłbym kustoszem tego fenomenu. Skromnie bym się uśmiechał, kręcił młynka kciukami i mówił: no tak, Pan

jest miłosierny, proście o cokolwiek byście chcieli, a będzie wam dane.

Więc wydałem mniszka na pewną śmierć. I co zyskałem? Matematyczny dowód na to, że jest Bóg? A może raczej na to, że, Panie, tylko zdrajcy i zaprzańcy mogą Cię oglądać w prawdzie? Że tylko oni zyskują pewność. Że kto Cię ujrzy, ten umrze.

O, straszna to wiedza, okrutna. I w zasadzie – nie do przekazania. Opowiadam to panu, bo pan po podobnych bezdrożach chyba kroczy. Oj, wyczuwam, nie zaprzeczy pan... Ale przecież to jest doświadczenie nie do podzielenia, to coś, co się zamyka, co zalega we wnętrzu i nie da się wyswobodzić, wypowiedzieć.

Szedłem do klasztoru, do ciała mniszka, i czułem jak wewnętrznie rozsypuje się w popiół... Bo duchowo umarłem. Cóż, że stałem się jedynym, który wiedział.

Wiedział! Który otrzymał od Pana
potwierdzenie!

Cóż, że byłem jedynym, który spośród
wszystkich braci z klasztoru dostał
matematycznego objawienia, który nie z
pięknych słów, z bardziej lub mniej udatnych
interpretacji swych losów, ale z jawnego
dowodu wprost zyskał pewność.

Więc o to mi chodziło? Do tego miała
prowadzić moja pogarda dla tych wszystkich
złotoustych proroków, dla wznoszących ku
niebu oczęta kapłanów, dla ich gestów?

Ta nasza pogarda, moja i pana, tak, proszę
nie zaprzeczać, biorę pana na współnika, nie
po to przecież, by się usprawiedliwiać, lecz
by – ostrzec! Zresztą, mniejsza. Ta pogarda
dla składających żałosne puzzle codziennych
drobnych epifanii, dla cierpliwie nizających
paciorki kolejnych dni i poprzestających na
tym. Do czego to nas zawiodło?

Dobrze, dobrze, nie wciągnę pana, niech się pan się nie obawia, sam muszę przebyć tę drogę... No i przebywam. Sam. Każdego dnia. Tak jak wtedy.

Co było dalej? No co?

Wchodzę do naszego ogrodu, szokującego wiosennymi woniami ziemi, gdzie gnuśne korzenie podniecane są do życia, tak, tak, kwiecień, najokrutniejszy z miesięcy, i nie wiem, kim jestem: niewiernym Tomaszem, który żądał dowodu, Piotrem, co się Ciebie zaparł, czy też może Judaszem, który inaczej wyobrażał sobie Twoją świętość, więc Cię wydał.

O, nie dodawajmy mu trzosa, z którego podkradał, nie omamiamy sprawą trzydziestu srebrników, nie o to przecież szło. I ja nie mogłem znieść mniszka i jego świątobliwości, tego, że ogrywał świat swoimi słodkimi słowami. Nie mogłem

znieść, że to tylko tyle: umiłować świat i starczy. Nie mogłem znieść zwyczajności. I on objawił się w prawdzie. A ja? Tak jak Judasz, który stanął przed arcykapłanami i starszymi, mówiąc: „wydałem krew niewinną”, tak i ja nagle zobaczyłem, w całej jasności, co uczyniłem.

Wlokę się korytarzem, schodami na górę, wchodzę odrętwiały do celi mniszka. Jak zza szyby dobiegają mnie głosy podekscytowanych współbraci, że czekał na mnie, że umierał z moim imieniem na ustach, że mnie wzywał.

Rozumie pan?! Tak, w ostatnich chwilach wskazywał na mnie, wołał mnie. I choćbym uciekał przed tym wspomnieniem, nie zagłuszy tego stukot kół pociągu, ani te nieznośne komunikaty spikera, nie.

Boże! Ześlij pocieszenie. Ześlij mniszka.
Niech mi wybaczy, niech powie, co mam
czynić.
Mniszku, przyjdź. Odmień moje spopielone
serce.
Przytul.

marzec-kwiecień 2019